

PIOTR WYSOCKI

ur. 1936; Toruń



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, teatr, Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie, pracownicy techniczni teatru, Stanisław Kuna, garderobiany Franciszek, Czesława Szymańska, perukarz

Pracownicy techniczni Teatru im. Juliusza Osterwy

Wielokrotnie techniczni, zresztą to dzisiaj też się dzieje, przy zmianie dekoracji wchodzi na scenę i przy otwartej kurtynie zmieniają dekoracje. Wnoszą stół, krzesła, fotele i tak dalej, ale wchodzi wtedy w kostiumach, jako służba w danym przedstawieniu. Zawsze takie [rozwiązanie] stosowano, bo przecież aktor nie wniesie krzesła. Chociaż bywa też tak, że może aktor sobie pozwolić na to, żeby wnieść krzesło czy fotel.

Stasiu Kuna, przeuroczy, siwy, w sile wieku jeszcze, znakomity gawędziarz, był kurtyniarzem, przy czym jak Stasiu Kuna ciągnął kurtynę, to widać było, że to jest artysta z teatru. On wiedział, ile razy, jak szybko, oczywiście kiedy to przecież zwykle wiadomo. I kiedy Stasiu ciągnął kurtynę, żeby było szybko, to jak ciągnął linę w dół i ona szła w górę, to Stasiu zawisał na tej linie gdzieś w powietrzu, wisiał i spadał z tą kurtyną. To był mistrz. To był artysta. Poza tym był artystą, jeśli chodzi o buty. Kiedyś zdarzało się, jakie to czasy były, że na przykład w sztuce, w której grałem w pięciu kostiumach, miałem pięć par butów, które robił Stasiu Kuna na nogę. Do dziś dnia w teatrze są oficerki, które Stasiu Kuna na mnie robił. Niedawno w sztuce były mi potrzebne oficerki – w znakomitym stanie i rzeczywiście tak wykonane, że przedwojenny oficer [pytał]: „Kto panu robił te buty?”. Z widowni człowiek zauważył, jak genialne, znakomicie były te buty przez Stasia robione. Przed południem on szedł do warsztatu swojego, na Narutowicza miał swój warsztat, tam jego żona przychodziła. To było w bramie, tu przy przystanku autobusowym, jak się jedzie w dół, tam zegarmistrz jest też zaraz obok na tym przystanku. W bramie po prawej stronie taki mały warsztacik [był] i tam się chodziło do Stasia. Przede wszystkim były to czasy, kiedy się buty zelowało, kiedy się buty naprawiało i Stasiu zawsze tam miał nasze jakieś robótki. I on od nas nie brał pieniędzy, ale tam się szło z wódeczką do niego, żona jego dawała jakąś ciepłą zagrychę. Tam był klimat. Stasiu tworzył klimat i opowiadał nam o teatrze, opowiadał nam o ludziach teatru, o aktorach. Tak że z

uśmiechem na ustach wspominam Stasia Kunę. Od czasu do czasu też statystował, ale to rzadziej. Na Narutowicza miał zakład szewski, gdzie normalnie przyjmował klientów, a zwłaszcza panie ze szpilkami, bo te szpilki często się paniom psują. Między innymi była taka moda na wysokie buty na dosyć wysokim obcasie w kolorze jasny brąz, nie sjena palona, tylko jasny kolor i te buty ja mam do dziś dnia przez Stasia zrobione. On prywatnie robił nam też buty i robił to wspaniale. Płaciliśmy jemu, on przecież musiał skórę kupić, on to wszystko na kopycie sam robił. Płaciło się mu normalnie, z tym że płaciło mu się przeważnie w ratach i później na koniec też oczywiście, po pierwszej przymiarce do cholewy się wkładało.

Był Franiu, znakomity garderobiany nasz. Miał taką pakamerę przy garderobie i tam w bucie zawsze miał pół litra: „Oj, coś widzę, Piotruś, że dzisiaj ty nie najlepiej się czujesz, chodź tutaj!”. I wszyscy widzieli, że Franiu mnie zaprasza do buta. Tylko Franiu miał jedną wadę: zawsze podpadał przed przydzielaniem trzynastki i tej trzynastki przeważnie nie dostawał, ponieważ przychodził na przedstawienie albo w czasie przedstawienia w stanie wskazującym. Franiu był kochany przez nas. W ogóle mieliśmy kiedyś zespół techniczny, byliśmy zżyci z tymi ludźmi, tworzyliśmy rodzinę. Może bardziej wredne kobiety były. Dzisiaj w naszym teatrze to raczej się nie zdarza, no, jakieś tam perełeczki może są. Ale Franiu przeżył jedną wielką tragedię. Myśmy również ze sztukami jeździli do domu kultury we Włodawie, nad Jezioro Białe i tam jechaliśmy zwykle wcześniej, jechaliśmy nad Jezioro Białe, kąpaliśmy się. I tam któregoś roku, latem, jego syn wypłynął z kumplami łódką i się utopił. I nie znaleziono jego ciała. I kiedy myśmy grali we Włodawie, to Franiu brał świeczki, szedł nad Jezioro Białe i całą noc się modlił i wspominał syna, który tam tak tragicznie zginął. I atmosfera w teatrze wtedy była też troszeczkę taka dziwna. Nie żartowaliśmy, przynajmniej z Franiem. To była wielka tragedia. Przeuroczy człowiek, bywałem u niego w domu, zakochany w artystach, ubóstwiał nas.

Skoro mówimy o ludziach teatru, Szymańska jeszcze była, portierka. Ona pracowała przed wojną w teatrze, w czasie okupacji i po wojnie. Szymańska była zakochana w artystach. Jak jej się podobała premiera, to na próbę generalną przychodziła – bidna kobita, jaką ona tam pensję miała, żadnych dodatków przecież – i zawsze coś robiła: smażyła albo gotowała, albo bigos, albo rybę, albo pierogi i na próbie generalnej w czasie przerwy częstowała artystów. A kto jej się podobał bardziej, to temu dawała dokładkę. Często siedziała na portierni. I któregoś dnia Witka Zarychta pojechał do filmu i mnie poproszono, żebym dosłownie w ciągu dnia za prezesa zrobił, za Witka Zarychtę, zastępstwo, a ponieważ ja siedziałem w tym przedstawieniu, więc nie było wielkiego problemu. No, ale musiała się odbyć nie jedna próba, więc dostałem egzemplarz suflerski i z tego egzemplarza nauczyłem się roli. I jest rano próba, „Dziady”, przyjechałem oczywiście na tę próbę i nagle się okazało, że ja w domu zostawiłem egzemplarz suflerski, ale była moja żona, ja mówię: „Słuchaj, jedź do domu natychmiast i przywieź ten egzemplarz, bo próby nie będzie można zrobić bez tego egzemplarza!”. No i oczywiście żona pojechała, a ja tak chodzę, chodzę po tej

portierni, taki zdenerwowany, a Szymańska akurat miała dyżur: „Proszę pana, panie Wysocki, niech się pan uspokoi, niech się pan uspokoi, no przecież będzie wszystko dobrze, nie? Żona egzemplarz przywiezie, proszę pana, przecież artysta to musi być popierdolony, przecież on nie może być normalny”. Cudowna pani, karmiąca koty i zakochana w artystach. Jak tylko miała wolne, to siedziała na widowni. „Ta sztuka mi się nie podoba, ona nie pójdzie, nie pójdzie”. I miała rację, przeważnie tak było. Jeszcze był cudowny pan, tylko też nazwiska znowu nie pamiętam, mianowicie, fryzjer, perukarz, dobrze zbudowany, wysoki pan. Dodatkowo żył z tego, że robił sztuczne rzęsy i kobiety u niego kupowały te rzęsy. Był zazdrosny niesamowicie o swoją żonę, a żonę często brano, jak były tłumy, do statystowania i on był wściekły: „Nie będzie moja żona robiła za artystkę. Ona ma tu siedzieć i pracować ze mną!”. Zazdrosny po prostu był o nią. Ale rzeczywiście, jak on robił perukę, no, to był majster, to był artysta. On nie miał godzin pracy, przychodził do teatru i pracował, i pracował. Siedział w tym teatrze po godzinach. Przychodzili do niego ludzie i skupował włosy, kobiece przeważnie, i z tych włosów się robiło później [peruki]. Jak kobieta dorastała do pewnego wieku, bardzo często obcinała olbrzymie warkocze. Kiedyś była przecież niesamowita moda na długie włosy, na warkocze. Młoda dziewczyna, zwłaszcza blondyna musiała mieć piękny warkocz, ale w pewnym momencie rezygnowała z tego warkocza, obcinała i sprzedawała go w teatrze i z tego nasz mistrz robił perukę.

Data i miejsce nagrania	2014-11-12, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"